Nr. 22. Lwów, 15. listopada 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Tegoroczny ciąg słonek.

„Tralarum!“ niestety, musimy powiedzieć sobie z ciężkiem sercem. Już tylko gdzieś wyjątkowo, tylko jakaś spóźniona słonka zaklaszcze skrzydłem w miocie, jakaś sybarytka, której trudno rozstać się z dobrze zastawionym stołem, lub też jakaś biedna postrzelona, która nie mogła podążyć za koleżankami.

A było ich, było tej jesieni, jak nikt nie pamięta i w lasach i remizach, i w ogrodach, i pod płotami, i w miedzach na czystem polu, jak gdyby wszystkie słonki dały się uwieść jakiemuś agentowi emigracyjnemu, który im wystawił naszą biedną Galicyę w czarownych barwach, jako kraj mlekiem i miodem płynący, jako rodzaj słonczego Kanaan. Zawiodły się biedne ptaszęta, bo zamiast ziemi obiecanej, zastały tłum zbrojny w lankastrówki i tesznerki, który od rana do nocy, posypywał znużone podróżniczki drobnym śrótem, to też biedaczki nie musiały nabrać korzystnego wyobrażenia o galicyjskich przystankach. A przypatrzywszy się zwłaszcza przedwyborczej obecnej agitacyi, rzuciły rozpolitykowaną naszą ziemię i poszły uszczęśliwiać Greków i Włochów, którzy bodaj się niemi... podławili.

Ten nawał jesienny słonek był miłem i pożądanem odszkodowaniem dla nas myśliwych za brak innego łownego ptactwa w tym roku. Bo pusto było w tym sezonie i na błotach i ścierni. Po stosunkowo łagodnej i bezśnieżnej zimie nastąpiła piękna wiosna. Radowało się serce myśliwych i hodowców, widząc dobrze przezimowane kuropatwy, rozbite w parki. Rankiem i wieczorami,

zewsząd odzywał się wab rozkochanych parek, a myśliwy układał sobie różowe preliminarze, co do kuropatw i zajęcy. I początek lata utrwalał nas w nadziejach, młode zające wyprawiały wesołe harce po odrastającej koniczynie, pisklęta kuropatwie biegły sznurkiem za matką, gdy nagle w całym prawie kraju kilkudniowa słota zniszczyła w jednej chwili owoc kilkuletniej pracy i wstrzemięźliwości myśliwych i hodowców i cofnęła nas o całe lato wstecz pod względem ilości kuropatw i zajęcy.

Nikt nie jest w stanie zdać sobie sprawy, ile wylewy zrządziły szkód w zwierzostanie. Ze wszystkich okolic kraju nadchodzą żałobne wieści. Najwięcej naturalnie ucierpiały miejscowości nadrzeczne, bo tam wytopiło się poprostu wszystko odrazu. Nietylko kuropatwy, bażanty i zające znajdywano potopione, uległy także wylewom i sarny, które jak wiadomo wynoszą się najchętniej z młodemi w pola i trawy podczas upałów. Sam byłem świadkiem podczas wylewu Dniestru, jak V-ta kurya, czychając nad rozszalałą wodą, wyławiała trupy sarnie i zajęcze, a te, które jeszcze żywe dobijały się do lądu, łowiła bez miłosierdzia. Tak było nad rzekami, ale i zdala od nich było niewiele lepiej. W czasie kilkudniowych gwałtownych deszczów, wylewał każdy rów, każda bruzka a małe jeszcze wówczas kuropatwy, ginęły całemi gniazdami z wilgoci i z zimna, to też w jesieni stadko składało się nierzadko z dwu starych i jednej młodej, a gdzie było liczniejsze stadko, to z pewnością w trzy czwarte składało się z starych kuropatw. Myślę, że zupełnie nie przesadzę, gdy ocenię stratę w kuropatwach w tym roku na najmniej trzy czwarte ogólnej ilości przed wylewami. Sam mam najboleśniejszy przykład u siebie. Całą zimę karmiłem kuropatwy przy kilkunastu budkach, można je było o każdej prawie porze dnia zastać, liczyłem stan przezimowanych kuropatw na najmniej 150 sztuk. Teraz gdy to piszę niewiem, czy doliczyłbym się 40-tu sztuk i to prawie samych starych. To samo słyszę od moich sąsiadów. Co z zającami się dzieje, pokaże dopiero ponowa. Nie spodziewam się jednak niczego dobrego.

Pamiętam, że gdym w połowie lipca przyglądał się w nienajróżowszym humorze moim kartoflom, których biały kwiat ślicznie odbijał się w zalewającej je wodzie, nadjechał jeden z moich sąsiadów i pocieszał mnie w swój sposób: „no, nie desperuj, kartofle djabli wezmą, ale za to będziesz miał kszyków i dubeltów bez końca". Nie pamiętam, czy byłem wtedy bardzo wdzięczny za tak chrześciańską pociechę, ale na szczęście przepowiednia sąsiada nie spełniła się ani co do pierwszego, ani co do drugiego punktu — kartofle, choć liche, były, ale kszyka ani dubelta nietylko w kartoflach, ale nawet i na błotach nie było — więc wyżeł spoczywał, a flinta milczała i na błotach i później na ścierni. Lecz przyszła jesień a z nią i odszkodowanie za tegoroczne łowieckie zawody i klęski. Pierwsze słonki spotkałem w czasie rykowiska w górach stryjskich w ostatnich dniach września. Było ich tyle, że co kilkanaście kroków zrywały się często po dwie i trzy. Gdyby nie obawa spłoszenia jeleni, mogłem codziennie, nie szukając specyalnie słonek zabić po kilka, a nawet po kilkanaście. Lecz król gór naszych odprawiał gody i trzęsły się debry od ryku zazdrośnych współzawodników, w ręku naszem spoczywały tylko sztućce, więc bezkarnie fruwały ptaszęta. Z pełną nadzieją wracałem na doły, nie wątpiłem, że obfitość słonek w górach, po pierwszym przymrozku i do nas zawita. Zrobiłem zapas ładunków i czekałem.

Dnia 6-go i 7-go października zmierzyłem się raz pierwszy ze słonkami w Żurawnie, u p. Antoniego Skrzyńskiego. Słonek było w łęgach (łozinie), nad rzeką Świecą, jak wróbli — w dwóch dniach w 4 strzelby zabiliśmy około 30. Później opowiadano mi, że w tych samych łęgach, w jednym dniu, w 4 strzelby, padło słonek 32, w takich samych łęgach w Izydorówce, u hr. Edmunda Dzieduszyckiego, zabiliśmy za kilkoma nawrotami słonek około 40 ci. U siebie po kilka codziennie ze spaceru przynosiłem. Na polowaniu pięciodniowem w Bukaczowcach, bolały nas karki od ciągłego patrzenia w górę. Także przeszło 40 słonek padło. Kraj cały szalał w tej orgii słonczej. Znajomi witali się pozdrowieniem: „Co za „mnóstwo słonek! Ile zabiłeś? Wczoraj u p. X. padło 70. „Przedwczoraj u p. Y. 120. Jutro u p. Z padnie jeszcze „więcej". Przez dwa tygodnie przeszło żyliśmy w ustawicznym karnawale, a co się przez ten czas myśliwski ludek napudlował, toby tego i Archimedes nie zliczył.

Ostatnią słonkę ubiłem wczoraj (47-mą tej jesieni) do dwu strzelałem, a pięć widziałem, pomimo, że to już było 6-go listopada.

Ile słonek padło w Galicyi w tym roku? Ciekawa kwestya. Dobrze byłoby gdyby *Łowiec* zechciał otworzyć kwestyonaryusz w tej sprawie, a brać łowiecka raczyła odpowiedzieć, zostawiając łacinę na boku. W tej chwili otrzymuję list p. Alberta Mniszka, który mi z tryumfem donosi, że zabił w tym roku czterdzieści siedem słonek. Odpowiadam mu równocześnie, że taki sam jestem dobry jak i on, bo ja także akurat 47 zabiłem — ciekawy zbieg okoliczności. Interesującem byłoby się dowiedzieć, kto tej jesieni rekord słonczy najdalej doprowadził. A teraz karnawał już skończony. Myśmy myśliwi zrobili swoje, lecz pozostaje otwarta kwestya, skąd i dlaczego ta niezwykła nawała słonek w tym roku? Może i o tem zechce nas kto w *Łowcu* objaśnić. Tymczasem kończę, życząc sobie i braci w Hubercie raz jeszcze takiego „Słonczego roku!"

Jajkowce 7 listopada 1900.

Aleksander Przedrzymirski.

Myśli, podniesionej przez naszego Szanownego korespondenta stałoby się zadość, gdyby Szanowni nasi czytelnicy *wszyscy* raczyli nadesłać nam wypełnione kartki, które przesłaliśmy przy poprzednim numerze „*Łowca*". O ile nam wiadomo dotychczas najwyższą liczbę słonek zabił p. Konstanty Czarkowski w *Niegowcach* (w powiecie *kałuskim*), bo 57 i to przed bardzo lichym psem. W ogóle padło w Niegowcach 67 słonek. O większej liczbie słonek, zabitych przez jednego myśliwego, dotychczas nie doszły nas wiadomości.

Redakcya.

O kulach, kalibrach i nabojach kulowych.

Sprawa broni kulowej staje się u nas w kraju coraz więcej aktualną. Z pociechą daje się spostrzec fakt, że nawet najzatwardzialsi zwolennicy „grankulek i loftek“ zaczynają się wstydzić ich używania, i że coraz mniej strzałów takich godzi w rogacza i dzika. Wyrabia się także coraz więcej praktyka strzelania do rogacza w lecie, na podchodne, i tutaj już oczywiście nikt innego pocisku, jak tylko kuli, nie używa. Sądzimy więc, że nie bez interesu będą uwagi, przez organ dolno - austryackiego Towarzystwa łowieckiego, w sprawie broni kulowej i pocisków, ze stanowiska zawodowego łowca poczynione. Mówiąc o rodzaju broni dla zawodowego myśliwego najlepszej, pisze ten organ:

„Że się przy tej sposobności mówi także i o działaniu pocisku, jest rzeczą jasną. W tym kierunku dałoby się bardzo wiele napisać, będziemy się jednak starać podać treściwie tylko to, co praktycznemu myśliwemu najwięcej jest potrzebne“.

„Zanim przejdziemy do pocisku w właściwem tego słowa znaczenia, należy poświęcić kilka słów obydwu gatunkom prochu, obecnie używanym, a mianowicie zwyklemu i bezdymnemu, od ich siły bowiem los strzału zawisł“.

„Proch bezdymny daje pociskom przy mniejszym stosunkowo naboju o dużo większą razancyę, przy mniejszym nacisku gazów, podczas gdy proch czarny wymaga o dużo większego naboju, aby tylko w przybliżeniu tę samą szybkość początkową otrzymać, przyczem jednak nacisk gazów się zwiększa. Przytem ma proch bezdymny tę zaletę w stosunku do prochu czarnego, że skutek strzału jest odrazu dostrzegalny, czego przy prochu czarnem nie ma, a szczególniej przy silniejszym ładunku. Ale jednę zaletę ma proch czarny — mianowicie tę, że broń wymaga krótszego i mniejszego czyszczenia, niż przy użyciu prochu bezdymnego. Jestto ważną rzeczą dla każdego, kto po każdem strzelaniu nie może dużo czasu strzelbie poświęcać a nie oddaje jej do zawodowego rusznikarza do przeczyszczenia. Strzelba, z której strzelano prochem bezdymnym, wymaga bardzo skrupulatnego czyszczenia, musi się więc przepuścić przez lufy kilka litrów gorącej wody, następnie troskliwie wysuszyć, następnie wytrzeć „Curolem“, w przeciwnym razie lufy rdzewieją szybko, dostają plam, co oczywiście odbija się potem na dobroci strzału. Nie każdy może strzelbę komuś innemu do czyszczenia z czystem sumieniem oddawać — a nie może też często strzelby zmieniać, tem bardziej, że sztućce dobre dużo kosztują.

„Także koszt nabojów już gotowych, których łuska nie może być rekonstruowaną, jest znacznie wyższy, niż przy prochu czarnym, który pozwala myśliwemu rekonstruować kilkakrotnie wystrzelone łuski. I tak n. p. kosztuje 100 sztuk $^{2}/_{3}$ albo $^{4}/_{5}$ płaszczowych nabojów 10 zł. a więc dwadzieścia strzałów próbnych, zrobionych przed rozpoczęciem okresu polowania na grubą zwierzynę kosztuje już 2 zł. Wprawdzie wynaleziono dla chronienia lufy od szybkiego rdzewienia, nabój specyalny, którym strzela się po kilkakrotnem strzeleniu nabojami, zrobionymi z prochu bezdymnego, a który ma dobre oddawać usługi, ale to nie usuwa potrzeby gruntownego czyszczenia strzelby w 10 do 15 godzinach po polowaniu.

„Ale i z pomocą prochu czarnego da się osięgnąć tę samą szybkość początkową, jeżeli się nabój należycie zrobi. Przedewszystkiem ważną jest rzeczą, aby do każdego kalibru kuli odpowiedniego naboju używać. Waga ilości prochu do zrobienia naboju użytej, musi przy prochu czarnym przedstawiać stosunek 1 : 5. Jeżeli zatem pocisk waży 25 gr., musi nabój prochu ważyć 5 gr., każde zwiększenie naboju prochu odbija się po pierwsze tem, że strzelba kopie silnie, co przy strzelaniu nie zawsze do przyjemności należy, a powtóre odbija się na regularności strzału. Inaczej ma się rzecz przy strzelbach zbudowanych specyalnie dla zwiększonych nabojów, jak to jest n. p. przy pociskach, skombinowanych z dwóch metali, przyczem już musi być zastosowana osobna konstrukcya gwintu. Tutaj należy nadmienić, że powinno się pomiędzy kulę i proch dawać zawsze przybitkę, bo w ten sposób przeszkadza się temu, żeby kula napuszczona tłuszczem, przy cieple, jakie przy strzale powstaje, nie udzielała tego tłuszczu prochowi, co pociąga za sobą nierównomierne spalenie się prochu a to do dobroci strzału kulowego się nie przyczynia. Należy także wystrzelone łuski metalowe tak szybko, jak tylko można, uwolnić od wystrzelonej kapsli, inaczej bowiem ona tak zardzewieje, że potem wydobycie jej robi trudności. Wystrzelone łuski powinno się przypłukać w słabym rozczynie sody, a potem, o ile możności jak najszybciej, wysuszyć na cieple“.

„Przechodzimy teraz do pocisku. Dawniej trzymał się myśliwy tej myśli przewodniej, żeby pociskiem jak największego kalibru spowodować jak największy otwór wchodowy, a jeżeli możliwe i wychodowy kuli — i w ten sposób uzyskać jak największą ilość farby. Dzisiaj pocisk małego kalibru z powodu swojej znacznie większej szybkości początkowej, działa za pomocą hydraulicznego ciśnienia na zawarte w ciele zwierzęcia ciecze w ten sposób, że wewnątrz tego ciała powstają spustoszenia, które szybko śmierć zwierzyny sprowadzają. Przy tej szybkości pocisku następuje oprócz tego w zwierzęciu taki nerwowy, że się tak wyrazimy, udar, że przyczynia się on do sprowadzenia natychmiastowej śmierci zwierzęcia. Ażeby to osiągnąć, musi się pocisk stępić, tak żeby miał szczyt płaski, przez co robi on większą ranę wchodową, a następnie, formując się w grzybek, większe sprawia spustoszenia“.

„Jest to jednak rzeczą mniej obojętną, czy rana wchodowa ma 9 czy 11 mm, ważniejszą jest rzeczą to, z jaką siłą pocisk w ciało zwierzyny uderza“.

„Co się tyczy razancyi małego kalibru, to jest ona znacznie większą niż przy kalibrach większych. Im większa jest siła początkowa strzału, tem większą jest jego precyzya. Przy strzałach z małokalibrowej, ośmiomilimetrowej broni przy $4^{1}/_{2}$ gr. czarnego prochu na 80 metrów t. j.

na około 100 kroków odległości, kule wszystkie mieszczą się w kole o 5 do 6·5 cm. średnicy, co jest bardzo ładnym rezultatem“.

„Zanim zastanowimy się nad rozmaitymi, używanymi powszechnie kalibrami kul, musimy zauważyć, że jest rzeczą o dużo korzystniejszą używać pocisków prasowanych niż lanych przez siebie samego. Rzecz oczywista, że prasowane kule muszą jak najdokładniej nadawać się do lufy tak pod względem wielkości kalibru, jak i pod względem długości pocisku. Kule lane własną ręką mają tę wadę, że różnią się od siebie wielkością i wagą, w miarę tego, jaką była temperatura formy, i że w ich środku tworzą się często próżnie. Dzisiaj można tak łatwo i tak tanio dostać doskonałe i dokładnie wyciśnięte kule, że właściwie nie opłaca się samemu ich lać“.

„Czego się wymaga od lufy kulowej?

1) aby pocisk, wystrzelony na 80 m. bez wizyra, na 100 z wizyrem, odbywał swoją drogę w łuku o ile możności jak najmniejszym;

2) aby pocisk posiadał należytą siłę, tak, żeby przy prawidłowym strzale na dystans do 150 i 200 kroków grubą zwierzynę kula przechodziła na wylot;

3) aby kula dała dostateczną ilość farby, tak żeby w razie, gdy zwierzyna nie zostanie na miejscu, można było łatwo za farbą ją dojść“.

„Przejdziemy wszystkie obecnie używane pociski, o ile każdy z nich temu zadaniu odpowiada. Przedtem jednak podamy daty, z których się czytelnik przekona o szybkości biegu rozmaitych pocisków i będzie sobie mógł zdać sprawę co do precyzyi i skuteczności obecnie używanych kul. Kula z naboju 8° milimetrowego „Nemrod“, (proch bezdymny o wadze 3·25 gr.), sama ważąca 10·6 gr., ma szybkość początkową 25 m., to jest na sekundę 491 m., wysokość łuku zaś, jaki robi, wynosi 29·2 cm. Większe kule z podobnego naboju, mające 9·3 mm. potrzebujące prochu bezdymnego 4·50 g., same ważące 13·0 g., robią 527 metrów w sekundzie, a wysokość łuku wynosi 25·6 cm. Te kule okryte są płaszczem metalowym. Kula z takiego samego naboju, zatem małokalibrowa, ale czysto ołowiana, wypchnięta ładunkiem prochu ważącym 3·8 g. sama ważąca 12·25 gr. pędzi z szybkością 483 metrów na sekundę, a robi łuk o wysokości 32·4 cm. Kula czysto ołowiana z expresa 11 m. ważąca 19 g., potrzebująca naboju prochu bezdymnego 4 gr., idzie z szybkością 390 m., a robi łuk 24·5 m. Karabin wojskowy, model 88, potrzebujący 14·7 gr. prochu bezdymnego, z kulą w płaszczu, daje szybkość 620 m. a łuk lotu kuli wynosi 18·5 cm“.

„Przy pocisku twardym z płaszczem ołowianym i przy kuli brenekowskiej*) wynosi wysokość łuku na 200 m. przy ładunku od 2—2½ gr. prochu bezdymnego lub 4·25 gr. prochu czarnego 23 do 24 cm., a szybkość 582 m. Kalibrem 500 przy 5 gr., 450 przy 4½ gr., 11 mm. przy 4 gr., 11·2 m. przy 4 gr. czarnego prochu, dadzą się osiągnąć bardzo piękne rezultaty na dystanse możliwe. Ta broń i pociski są używane w krajach alpejskich. Myśliwy jest przeważnie konserwatystą i rozłącza się niechętnie z bronią, do której się przyzwyczaił. Cechą tej broni jest dość wielka siła uderzenia i wielka ilość farby, na którą można rachować — także i to, że się słyszy uderzenie kuli, którego nie można już słyszyć przy pociskach z większą razancyą. Odgłos uderzenia kuli dla wprawnego myśliwego jest bardzo dobrym znakiem dla ocenienia, gdzie kula siedzi. Broń z większą razancyą sprowadza szybką śmierć zwierzyny, co wyrównuje tamten brak. Złemi stronami tych kalibrów jest zanadto wielki łuk drogi, którą pocisk przebywa, szczególniej przy kalibrze 500, mała szybkość początkowa i powolniejsza śmierć zwierzyny. Ile to razy zdarza się, że rogacz albo jeleń z pięknym strzałem w komorę jeszcze daleko ucieka. Jeżeli się powiększy nabój prochu do 6—7 gr. to przedewszystkiem sztuciec będzie kopał silnie. Kopnięcia tego przy strzelaniu do zwierzyny czuć się tak nie będzie, jak przy strzelaniu do tarczy, bo gra tu rolę moment psychiczny, który każe zapomnieć o jakiemś uczuciu nieprzyjemnem, ale pocisk miękki rozwija się za szybko wskutek zwiększonej szybkości i gdy wpada w zwierzynę, nie ma już tak wielkiej siły przebicia, szczególniej, gdy trafi na kość. Przy domieszce antymonu, w ilości 1 do 1½%, mógłby ten pocisk przy takim naboju mieć doskonałe rezultaty. Nie można wprawdzie wymagać od jakiegokolwiek w łowiectwie używanego pocisku, żeby zawsze przechodził na wylot zwierzynę, gdyż kula z wielką siłą biegnąca, trzaska najgrubsze kości i przechodzi zwierzynę na wylot, gdy zaś wpadnie w części miękkie, pozostaje w nich i każe zwierzynie długo na koniec męczarni czekać. Kaliber 9·3 mm. i 9·5 mm., z kulą miękką, z 2·75 gr. czarnego prochu, wystarcza zupełnie dla rogacza, ale nie jest dostateczny dla jelenia. Siła przebicia jest za małą, bo pocisk jest za lekki i za wcześnie się deformuje. Ten sam rezultat jest przy 8 mm. i 8·2 mm. kalibrze z miękką kulą. I te kalibry wystarczają na rogacza, a są nie do użycia na jelenie. Spełniają one podane wyżej warunki tylko pod względem razancyi, ale nie pod względem siły przebijającej i pod względem wydobycia silnej farby. Inaczej ma się rzecz z pociskami twardymi kalibru 9·3 mm i kalibru 8 mm. z kulą brennekowską. Działanie tych pocisków jest równie dobre wobec rogacza, jelenia, dzika i kozicy — prezycya strzału nadzwyczajna. Rana wchodowa i wychodowa, (ta ostatnia jest przeciętnie wielkości korony), także nie pozostawia nic do życzenia. Kula wchodząc wycina poprostu w ciele okrągły otwór, który wyrzuca obficie farbę. Rana wychodowa nie jest nigdy tak poszarpana jak przy 8 mm. pocisku, ubranym częściowo w płaszcz stalowy. Stąd farba jest nawet przy złych strzałach dostatecznie wielka. Przy strzale w komorę nawet jeleń kończy prawie zaraz na miejscu strzału. Przytem razancya jest tak wielką, że na 160 kroków strzela się mierząc prosto w miejsce, w którem kula ma się znaleść. Na 80 metrów odległości pada twarda kula 9·3 mm. przy ładunku czarnego prochu 4½ gr. jedna bliżej drugiej, niż przy 8 mm. półpłaszczowym pocisku, wystrzelonym prochem bezdymnym. Godnem uwagi jest to, że z broni kal. 9·3 i 8 mm. można strzelać kulami twardemi lub brennekowskiemi o rozmaitej ciężkości i rozmaitymi nabojami. Ścięta twarda kula, cieńsza i dłuższa niż 9·3 mm. miękki pocisk, oddaje dobre usługi przy strzałach do sarn, z nabojem prochu 4° gramowym, cięższa z 4½ gramowym nabojem używa się na jelenia. Kula stożkowa, nieścięta, z 2 gr. prochu, używana na drapieżną lotną i czworonożną mniejszą zwierzynę, jak ró-

*) Kula, wynalazku Wilhelma Brennecke z Lipska używaną jest do luf śrótowych. Ma ona kształt walcowaty, z lekkimi gwintami, który nadaje kuli pewien rodzaj, choć słabej, rotacyi — do dna kuli przyśrubowaną jest przybitka filcowa, która reguluje lot kuli a zarazem zamyka przy strzale szczelnie lufę.

wnież na cietrzewie, ma tę zaletę, że nie niszczy tak zwierzyny, jak spłaszczony pocisk. Tym pociskiem można także strzelać na 80 m. bez wizyra — służy on także do ćwiczenia się w strzelaniu".

„Przechodzimy teraz do broni 8° i 6o mm. Myśliwy ma inny cel, niż żołnierz. Podczas gdy ten stara się uczynić swojego przeciwnika niezdolnym do boju, tamten używa sposobów, aby zwierzynę jak najrychlej i jak najpewniej zabić. Pocisk z całym płaszczem nie nadaje się zatem do celów łowieckich, służy chyba tylko do strzelania do sępów, orłów i innej zwierzyny, którą trzeba z daleka strzelać, a zależy bardzo na tem, żeby wogóle kulę dostała, choćby się jej nie miało podnieść. Zając, który dostał taki strzał w komorę, biegł jeszcze trzydzieści kroków, zanim padł. Zaczęto zatem robić pociski z płaszczem, pokrywającym tylko dwie trzecie lub cztery piąte pocisku. Półpłaszczowe kule okazały się nieużytecznemi, bo wolna część kuli ołowianej wchodziła w gwint lufy, płaszcz oddzielał się od jądra ołowianego, wobec czego cała wartość strzału była iluzoryczną. Pociski z $^2/_3$ i $^4/_5$ płaszcza mają przy 2·4 gr. prochu bezdymnego bardzo wielką szybkość i siłę — wobec czego droga ich lotu jest dłuższą i prostszą, podczas gdy pociski z miękkiego ołowiu, lub ołowiu mieszanego prędzej kończą bieg łukiem szybciej spadającym. Z tego powodu pociski płaszczowe są obecnie na wielu polowaniach z pogonką zakazane i to całkiem słusznie. Także i na polowaniu podchodnem tylko w górach mogą być używane, a i tu nieraz zachodzą wypadki, że mogą być niebezpieczne. Kula mocno spłaszczona 11 mm. lub 9 mm. utkwi prędko w ziemi lub gałęzi — kule płaszczowe mając zęstsze rykoszety(?), które są nieobrachowalne. Kule z częściowym płaszczem robią straszne zniszczenia w organizmie zwierzyny — przy polowaniach na zwierzynę egzotyczną, na bawoły, lwy, slonie, może być taka kula bardzo dobra, na kozice, jelenie, sarny jest ona zanadto silna — robi ona często bardzo ranę wychodową tak wielką, że pięść w nią wsadzić można. Taka kula jest tem mniej potrzebna, że mamy broń inną, która pod względem szybkiego i pewnego zadawania śmierci zwierzynie jest bardzo wystarczającą, oczywiście jeżeli chodzi o strzelanie na odległości możliwe. Dla myśliwego zawodowego, któremu przy obchodzeniu rewiru potrzeba obok lufy kulowej także srótowej lufy — nadaje się najlepiej t. z. *Büchsflinte* (t. j. dubeltówka z jedną lufą sztucćową i jedną śrótową), i trzylufki. Korzyści i złe strony prochu bezdymnego wykazaliśmy już wyżej. Obok tego, że trudniej jest utrzymać lufy w porządku przy strzelaniu prochem bezdymnym, wypada strzał takim prochem dwa razy drożej, niż prochem zwykłym. Wątpić należy, czy pojawią się takie wynalazki, któreby usunęły całkiem niedogodności prochu bezdymnego".

„Wogóle nie będą miały nowowynalezione i nowowprowadzane bronie dobrego wpływu na stosunki łowieckie. Broń dalekonośna może być dobrą tylko w rękach bardzo dobrego strzelca — któremu jednak nie zależy na wartości zwierzyny, jako dziczyzny — w ręku strzelacza lub myśliwego początkującego, będzie ona więcej niż niebezpiecznym narzędziem, szczególniej w połączeniu z lunetą. Ta ostatnia ma racyę bytu przy strzałach o zmroku czynionych lub dla słabo widzących — kto jednak używa jej na to, ażeby strzelać ze sztućca lunetą zaopatrzonego na niemożliwe odległości, ten nie zasługuje na miano poprawnego myśliwego. Gdy dawniej kozica lub jeleń stojący dalej niż na 300 kroków odległości, jeżeli nie było możliwości podejścia ich lub napędzenia, były zupełnie bezpiecznemi, i tylko bawiły oko widokiem swoim, to teraz ile to razy strzałów na taką metę się probuje! Myśliwy, który ma taki „kilometrowy" sztuciec w rękach, odzwyczaja się szybko od podchodzenia zwierzyny, bo ma broń, która pewnie strzela z wielkich odległości. Na co więc się trudzić? W ten sposób wychowują się strzelacze".

Za to stanowcze zdanie, wypowiedziane w kwestyi co najmniej otwartej i niezałatwionej, nie bierze Redakcya odpowiedzialności.

„ROK MYŚLIWCA"

Wincentego Pola z rysunkami Juliusza Kossaka.

Listopad... Przez dwa miesiące polatywał liść z drzewa i w listopadzie poczynają się już na gołym lesie łowy; naga rózga świszcze w przeciągłym wietrze, a w borach nieustanny szum, jak we dnie tak w nocy, i choć się w polach uspokajać zdaje, wiatr wojuje nad sklepieniem w sosnach, jak gdyby się duch puszczy po nich pławił.

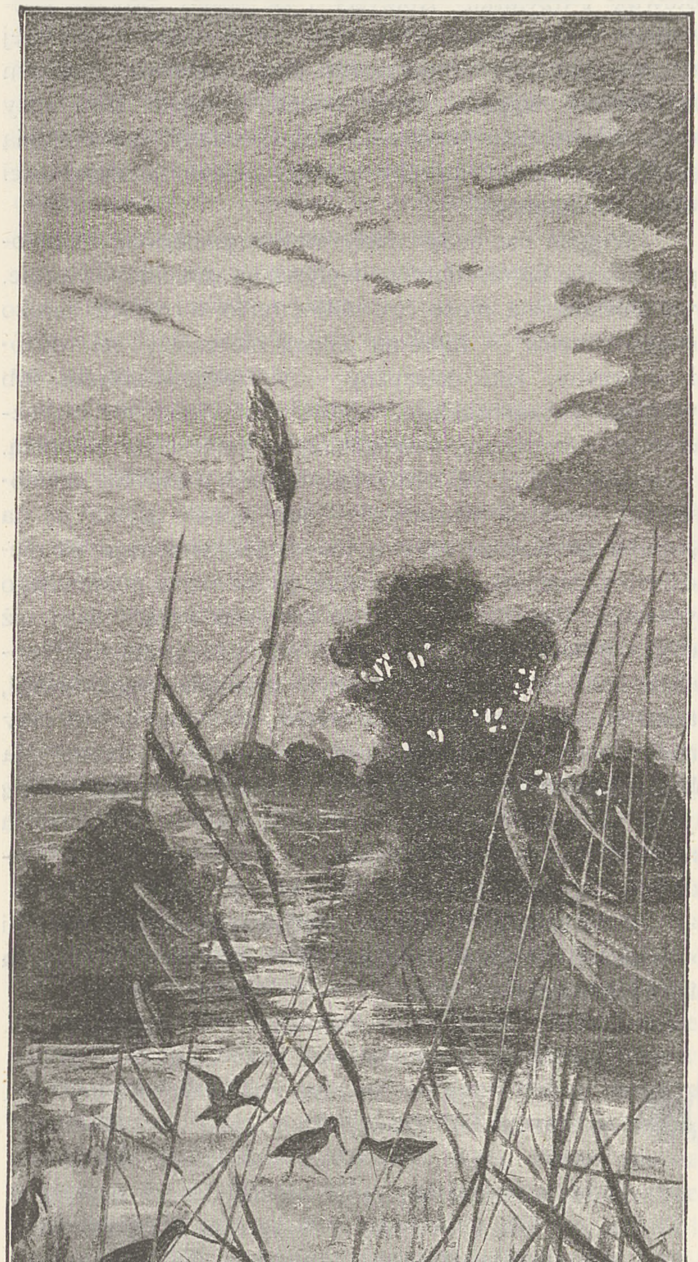
Już to przez pięć miesięcy ubywało dnia i ciepła, a przybywało wilgoci w powietrzu. Obfite rosy, częste szrony, mgły i słoty jesienne rozkaliły ziemię i przepełniły wilgocią powietrze; nisko tedy opuściły się nad ziemią mgły i chmury i ołowiane niebo zdaje się ciężyć nad nią.

Przez całe dnie, a nawet przez całe tygodnie, nie wyjrzy słońce z poza tej szarej opony. Nisko ponad ziemią ciągną śniegowe chmury i łamią się w olbrzymich bałwanach, strychując mokrą mgłą wyżyny lub pasma pagórków, które na całe tygodnie znikają wtedy dla oka.

Widokrąg zcieśnia się, i ani zbliska, ani zdaleka nie ma na co spojrzeć, bo szare niebo, szary las, szare pole, powietrze zgniłe i ciężkie. Czasem tylko z odbicia chmur wyższych oświecają się chmury niższe przykrem, żółtem, fałszywem światłem, które jaskrawo oświetla jakiś pas widoków, poczem się znowu czarne, śniegowe nasuwają

chmury. Przeciągłe, jednostajne, żałosne wycie wiatru jesiennego, to głos natury na listopad, a widokiem natury trzydniowa mraka drobniutka, lecz zimno i ostro cięta, las goły i szare pole.

Człowiek opada z myśli i nie zdoła się prawie obronić duchem tym przykrym głosom i widokom natury.



Kszyki podczas ciągu jesiennego.

Wszystko zdaje się czekać przesilenia: ale skąd ma się wziąć przesilenie, kiedy codziennie do krótszych dni i do zimy idzie? Człowiek pragnie mrozu i śniegu, byle się tylko coś odmieniło na świecie. Jakoż wyjaśnia się tylko na mrozie i czekać polepszenia tylko od śniegowej zamieci. Jeżeli jeszcze w październiku na Szymona i Judę nie było śniegu ani grudy, to zdarzać się zwykło, że zjeżdżają dopiero wszyscy Święci na białym koniu i w wigilią świętego Huberta, patrona myśliwych, wyprawiają pierwsze łowy na ponowie; ale jeżeli i święty Hubert nie dopisze i zasłoci się na nowiu, to szaruga jesienna przeciąga się nieraz aż do świętego Andrzeja apostoła.

Może to nie daremnie na listopad przełożyli myśliwi święto swojego patrona, aby się wtenczas zabawić po męsku łowami, kiedy nic nie bawi. Święty Hubert stoi w połowie łowów, i myśliwi chwalą się, że i oni na coś się przydali, jak przysłowie mówi:

Kiedy swego czasu
Goły las nastaje,
Święty Hubert z lasu
Cały obiad daje.

Tak szczycą się ci, o których powiedziano jest pomiędzy rolnikami, że „zjedzą wołu, a ptaszka zabiją.“ Pytałem tedy starych myśliwych, co to za cały obiad daje święty Hubert z lasu? No to rzekł mi pan Łowczy:

— Dziś wydałem ja dyspozycyę kuchmistrzowi i na jutro na obiad świętego Huberta prosimy, a jeżeli jedna rzecz będzie ze spiżarni innej, jak ze spiżarni świętego Huberta, to niech chybię do dzika, gdy na połeć idzie.

— Cóż będziem mieli? spytałem dalej.

Pan Łowczy poprawił ognia w kominku, pokiwał trochę głową, podkręcił raźno wąsów i tak mi powiada:

— Obiad będzie dobry, ale musimy począć od wódki; wszystkiego będzie na cześć świętego Huberta po troje. Więc naprzód trzy myśliwskie wódki: topolówka z pączków, dębówka także z pączków i jałowcówka, wszystko wódki trzyletnie, pięknie sklarowane i najbezpieczniejsze w tym czasie. Do tych trzech wódek są trzy przyprawy; dziengiel miałko tłuczony, pieprz tłuczony grubo i świeże sadło borsucze, na odżywienie trzewiów, szczególniej dla starych myśliwych bardzo dobre. Kto go używa jak lekarstwa, pije je z wódką jałowcówką, poczynając od świętego Huberta aż do wigilii Bożego Narodzenia. Po wódce pójdą przekąski. Więc najprzód królewska wędlina, bo ozory jelenie i języczki z kozłów do chrzanu; na drugą przekąskę marynowane koźlę dzikiej kozy; na trzecią przekąskę serek utarty z głuszca, przekładany białemi truflami. My będziem mieli jutro głuszca, który do królewskiej przekąski należy; ale gdzie głuszca nie ma, można wziąć i inną leśną kurę, jarząbka lub cietrzewia, a że brat nasz nie przebiera, więc „na bezrybiu i rak ryba“ można utrzeć serek i z kuropatw, zawsze go jednakowoż wypada przełożyć białemi truflami. Po przekąskach będziemy mieli barszcz jeden i drugi; dobrze skromny zając pójdzie do barszczu. Grubsze kości sam potłukłem, aby się coś i szpiku obrało.

Zapytałem pana Łowczego.

— A czy i barszcz z lasu?

Nieraz był, żem go przychwycił zaraz na wstępie, ale wyszedł obronną ręką.

— O! wielka sprawa! Tyle też baby chwały mają, że do uczty myśliwskiej dodają zawsze kwasu. Otóż po barszczu pójdzie na sztukamięsę dzik przerosły dobrze i dany prosto z pieca na głogowym smaku, a głóg pono z lasu. Że i na pierwsze przetrącenie mają być trzy dania,

więc pójdzie przed sztukamięsą głowizna z dzika i studzone nogi; potem pójdą trzy pasztety; pierwszy z kaczek dzikich w dyni, drugi z małych ptaszków w kapuścianych liściach pieczony, trzeci z kwiczołów w gniazdach z rzepy. Dalej pójdzie z kolei troje pieczystego: najprzód jelenia pieczeń z grzybami, potem cząber sarni ze świeżemi rydzami, w końcu słonki, a do nich niby to garusik, niby marmulada z dzikich jagód i owoców. Na tem basta. A dodać tylko trzeba trzy naturalne trunki: maliniak, dereniak i stary miód leśnej pszczoły. Będą także na wety kandyzowane tarki, borówki, w miodzie smażone laskowe orzechy i kalmus smażony na cukrze. A kto nie dołoży, ten sam sobie winien. Dosyć na tem, że święty Hubert daje cały obiad z lasu. Jeżeliby się znalazł fryc na obiedzie świętego Huberta, podaje się mu z osobna przy pieczystem pieczeń z lisa lub wilka, a jak się tylko tknie półmiska, frycują go myśliwi, bo się otwierają drzwi do izby stołowej i myśliwi trąbią we wszystkie rogi. Na odgłos rogów zawyje cała psiarnia, którą z umysłu na to przed ganek posforowaną sprowadzają i jest krotochwila myśliwska, o którą w listopadzie niełatwo. W parę godzin po obiedzie zrobię ad laetificandum cor krupniku; przygotowałem okowity takiej, co proch spali. Otóż jak okowita zapalona zawre w kociołku, dodamy w miarę lipcowej patoki, a roztworzymy żurawinowym sokiem. Kolor gdyby rubin i taki krupnik jest w listopadzie dla podeszłych ludzi zdrowy i pić się daje.

Otóż raz na rok w dniu świętego Huberta upominamy się u myśliwych o taki obiad i taki krupnik, podług regulaminu łowieckiego i przepisu pana łowczego, na którym stoi trzy razy podkreślone „probatum“. Możnaby po takim obiedzie i przy takim krupniku zapomnieć o listopadzie i o kalendarzu łowieckim; ale że nie przy krupniku, lecz przy kominku siedzim, że wiatr wyje straszliwie na świecie, wypada nam powracać do rzeczy.

Całemi godzinami, dniami i nocami przysłuchiwałem się nieraz wyciu tego jesiennego wiatru. Wszystkie boleści człowieka, wszystkie jęki natury, wszystkie męki duchów czyścowych żalą się i wyją w tym wietrze jesiennym, który się wciska do każdego klasztoru, do każdego dworu i każdej chaty najmniejszej, popod progi i przez okna, przez korytarze i krużganki, od piwnic aż do kominów, od grobów aż do wież, niepokojąc boleścią natury żywe i czujące dusze.

Coś złego musi się z naturą robić w tym listopadzie, kiedy to przeciągłe żałośne wycie wiatrów, które całą skalę tonów przechodzi, tak bardzo w tym czasie niepokoi człowieka i naprowadza myśl jego na mękę duchów czyścowych, tak iż radby uciekł sam od siebie.

Czemu, zapytuję, nie oddała kompozycya muzyczna w tonach tego wielkiego rozstroju natury? Źle mówię rozstroju, bo jużci skala tych tonów strojna i nie ma w niej nic fałszywego, chociaż są głosy wielkich cierpień i czyscowej męki w tym żałośnym koncercie natury.

Listopad czeka jeszcze u nas na kompozytora muzycznego; a teraz przy świętym Hubercie powracamy do regulaminu łowieckiego, bo wypada się rozstać z listopadem.

Już obiad świętego Huberta uczy, na co się jeszcze poluje. Dla rogaczy ustaje już z początkiem miesiąca czas rykowiska, a częstokroć nie przeciąga się nawet do listopada. Jelenie i sarny przechodzą po rykowisku stadem na wielkie, zwarte lasy. Do łań i sarn nie strzela się więcej, ale rogacze i hurt jałowy można jeszcze bić na upatrzonego. Niedźwiedź odszukuje swoję gawrę, łagodzi się na zimę i trzyma się blisko niej; bojąc się, żeby go nie zapadły śniegi i nie chcąc w górach, gdzie już śniegi spadły, znaczyć tropu po ponowie, układa się do snu zimowego. Listopad, to czas właściwy polowania na dziki, które teraz na żołędzi i bukwi spęczniałe, chłodzą się po bagnistych sołotwinach i szczeć ocierają o korę drzew, bo dołożone dostają świedłu w skórze. Ztąd też łatwo w tym czasie objechać ich barłóg i po korze drzew upatrzyć gdzie się tarły. Dziki chodzą w tym czasie w wielkim hurcie i odyńce są już przy trzodzie, bo z końcem miesiąca poczyna się czas rui.

Borsuk leży na jamach z końcem miesiąca w kotle, bo i on się grzać poczyna.

Zając, bo go liść lecący z drzewa nie płoszy, wraca do krzaków i lasów; ale wilk spuszcza się na poniższe działy; liszka myszkuje po dniu mglistym w polach i zachodzi już nocą do wiosek na rozdobędę po gęsi i kury, a przebywa dniem w oczeretach i łozach w pobliżu wiosek, gdzie i wilk czyha na łup, bo się już bydło w polach nie pasie.

Kto w tym czasie pod gołem niebiem nocuje, czy to w lesie, czy w obłogach, czy w stepie, nie nocuje bez ogniska, i listopadowe ognie, które po nocy tu i owdzie świecą, są rzadsze, ale zato większe.

Leśne kury zajęły już zimowe swoje stanowiska; kuropatwy trzymają się w przylaskach, lub krzakami obrosłych zboczach.

Rogów rogaczy potrzeba pilnować, bo z końcem miesiąca tego ronią rogi. Polowanie na borsuki trwa jeszcze ciągle, a na skórkę wszelką poluje mały myśliwy, na strzelbę, na ponętę, na witerunek, na owłokę i żelaza.

KORESPONDENCYE.



Lisowczyk, syt chwały, po tegorocznem polowaniu jesiennem, zapełniwszy obficie liczne swej księgi łownej rubryki — pragnie się z szerszem łowców gronem świetnym wynikiem polowań podzielić, pragnie w ten sposób wywdzięczyć się bogatej kniei za niewyczerpane myśliwskie skarby, do udziału w których bory Lisowieckie, bez żadnych ograniczeń, z hojnością niezwykłą, tej jesieni go powołały.

A tout seigneur, tout honneur: zacznijmy od dzików. Niestała i kapryśna wiosna tegoroczna, ustępując zimie już przy końcu kwietnia łagodniejszych swych praw, pozwoliła tej ostatniej w cieple wiosny okresy, wkroczyć przejmującem zimnem, które mróz spowodowawszy, wiele kwiatów i owoców zmroziło.

Temu losowi ulegając bukwa w górach, nie mogła zatrzymać u siebie dziczego plemienia, co je w niższe rewiry sprowadziło w poszukiwaniu za żołędzią, obficie obrodzoną; bezpośredni skutek tej dziczej wędrówki był ten, iż zabito ich podczas ośmiodniowego jesiennego polowania 19, — przyczem jako nadzwyczajność podnieść należy, iż w jednym dniu, oczywiście na czarnej stopie, zabito 11 dzików, z których 7 w jednym miocie — w tem ani jedna samura a cztery odyńce.

Obszerniejszej następnie o żywym nastroju wzmianki, ów tak obfity ciąg słonek gwałtownie się doprasza. Ciąg ten w całym kraju przewyższył wszelkie oczekiwania, tem bardziej, że atmosfery przyczynami nie daje się wytłómaczyć: rok bardzo suchy, najwilgotniejsze rewiry, okazały brak wilgoci — zdawałoby się tedy, że właśnie tej jesieni słonki ominą nasze lasy — stało się tymczasem wręcz przeciwnie, słonki były wszędzie, a w miejscach znanych, jako przez nie wyróżnianych, — ciąg był niezwykle bogaty.

W Lisowicach nie wystąpiły wszędzie w większej ilości — przeciwnie, w przeważnej części rewirów ruszaliśmy ich tylko po kilka, te właśnie nasze dobre znajome, tybulcze ptaki, w górach naszych się gnieżdżące, zmieniające tylko miejsce pobytu dla łakomstwa, a nie łączące się z licznymi ciągami zagranicznych podróżniczek. Tych jednak ostatnich zastaliśmy na przestrzeni około 300 morgów niezwykłe zebranie. Upodobały sobie starą rzadką dębinę, gęsto leszczyną podszytą i z niej na dwurazowem polowaniu przez nagonkę wyruszane, sprawiały nigdy niezapomnianą rozkosz myśliwską. Bywały chwile, w których nie można było ładunków nastarczyć; donośne a nieprzerwane „*tire-haut*“ dzielnych Lisowickich chłopców jednem, głośnem echem rozbrzmiewało na całej przestrzeni branego miotu; w ślad za tem gorączka opanowuje myśliwych. Niejeden dobrze zwykle do słonek strzelający, nie jest w stanie spokojnie wymierzyć — wiele słonek, uniknąwszy czyhających na nie śrótów, w przyległym zapada miocie; a więc powtórna nagonka i wreszcie wynik świetny: 36 słonek w jednym dniu na rozkładzie; a trzeba wiedzieć, że knieja Lisowicka nie jest bynajmniej na słoncze polowanie urządzonym rewirem: mioty olbrzymie, trudność ich obstawienia, trudność w ogóle ruszenia i ujarzmienia ptaków na tak znacznych przestrzeniach, — a przecież i drugi pamiętny dzień w tym samym rewirze a także na rzadko krzakami porosłem pastwisku, dał 39 słonek ubitych w jednym dniu. Te dwa dni tedy o 75 słonkach dały rozkład o wiele bogatszy, jak wszystkie dotąd od 30 lat polowania jesienne w Lisowicach, w jednym bowiem tylko roku 1897 zabito 83 — tym razem w dwóch dniach 75 słonek, a razem 131.

Ten ciąg słonek złotemi powinien być w rocznikach myśliwskich zapisany głoskami a w ślad za miłem wspomnieniem o uroczych długodziobach nasuwa się pytanie, czy prędko, czy kiedykolwiek danem nam jeszcze będzie nazwać się uczestnikami tej tak sławnej a sutej słonczej biesiady?

Knieja Lisowicka, jak gdyby przy ilości trofeów i o jakości pamiętać chciała, pozwoliła do rozkładu wcielić wspaniałego żbika a nadto kunę leśną i puhacza *(Bubo maximus)*; dość powiedzieć, że na jednem polowaniu jesiennem mieliśmy do czynienia z 11-ma gatunkami łownej zwierzyny a mianowicie: ze żbikiem, dzikiem, rogaczem, kuną, lisem, zającem, cietrzewiem, jarząbkiem, słonką, puhaczem, sową długoogonową *(Strix uralensis)* a tylko praworności myśliwego zawdzięczyć należy, iż jeleń dwunastego rodzaju nie przysporzył, okazały rogal bowiem, w towarzystwie łani i cielęcia wyszedł na linię strzelców; ponieważ jednak rogi jelenia na szóstaka tylko wskazywały, uszedł cało, w nadziei, że kiedyś, może już bardzo niedługo, szczyty gór Lisowickich zabrzmią potężnem echem ryku... co najmniej dwunastaka.

Ogólny wynik 8-dniowego polowania od d. 16. października do włącznie d. 24. przedstawia się jak następuje:

Żbików	1
Dzików	19
Rogaczy	23
Kun	1
Lisów	38
Zajęcy	65
Cietrzewi	1

Jarząbków	10
Słonek	131
Puhaczy	1
Sów uralskich	4

Razem sztuk 294 na strzałów 786.

A. K. W.

Tarnów, w październiku 1900.

Zachęcony wezwaniem Szanownej Redakcyi „*Łowca*" z 15. b. m. co do sprawozdania z ciągu słonek tej jesieni, pospieszam zamieścić słów kilka w tej sprawie.

Tarnowska okolica obfitowała przed laty w błota i mokradła, to też polowanie na kszyki, dubelty, kaczki i inne ptaki błotne i wodne nie należało do najgorszych. Wtedy i słonki obierały tę okolicę za swoje szlaki tak dalece, że na ciągu wiosennym lub buszowaniu w jesien nie było rzadkością strzelić w 4 strzelby kilkanaście słonek przy jednej wyprawie myśliwskiej.

Dziś, gdy krajowe biuro melioracyjne, dobrodziej dla rolników a wróg dla myśliwych ze względu na ptactwo błotne, po zregulowaniu i osuszeniu bagien, ostatniego kszyka z tej okolicy wygoniło, ciąg słonek zmalał do niepoznania tak dalece, że strzelenie 10 sztuk w całym powiecie w okresie jednego ciągu — należy do nadzwyczajnych sukcesów.

Rok obecny był wyjątkowym, gdyż ciąg wiosenny należał do zadowalniających a jesienny do rzadkości.

Gdy najlepsze rewiry lasowe, do których słonka zawitać i znaleść może pożywienie, należą wyłącznie do JE. księcia Eustachego Sanguszki, od jego woli i chęci zależy, zarządzenie polowania na słonki.

Korzystając z łaskawego zaproszenia zarządu leśnego wziąłem udział w polowaniu na słonki w rewirze Żdżary, urządzonem przez znanego zaszczytnie w tej okolicy łowczego, p. Michała Gottwalda, któremu li tylko słonki spać nie dają, bo polowanie na inne ptaki jest dlań prawie obojętnem.

W dniu 6. października b. r. z trzema towarzyszami i kolegami po rusznicy udałem się z Tarnowa do Żdżar odległych o 16 kilometrów i przybywszy o godzinie 6 rano na miejsce, zastaliśmy wszystko przygotowane do polowania — wzięto 5 miotów w lasach wysokopiennych podszytych i w młodym drzewostanie przy współudziale 26 naganiaczy i w 5 strzelb, ubiliśmy 10 słonek, a co najmniej drugie tyle uszło krzywym strzałom niewolników Dyany. W końcu dodać należy, że już w połowie września b. r. znajdowały się tutaj słonki, które strzelano. Dnia 25 b. m. jeszcze dwie zabiłem — z czego się okazuje, że rok bieżący dla ciągu słonek był nader sprzyjającym.

Dr. Eugeniusz Wojnarski.

Makuniów, d. 30. października 1900.

Wiatr już szumi z północy, strącając resztki liści z półnagich drzew, deszcz jęczy na szybach, jak jęczą upiory po uroczyskach, a myśliwy o szarej godzinie siedzi przy kominku; u nóg zwinięty leży w kłębek srokaty towarzysz — kolega. I obaj myślą błądzą po minionej dopiero świetnej przeszłości — obaj wspólnie, nierozdzielnie zbierali wawrzyny lub doznali zawodów! Odpoczywaj sobie teraz wierny kolego — ale na barkach twego pana zaszczytny urząd delegata Towarzystwa łowieckiego spoczywa — zresztą czegoż nam obom się nie pochwalić uczciwie, gdy można!

Sezon ubiegły był pod dwoma względami *fenomenem*. Najpierw niesłychana posucha zamieniła nam nasze znane tradycyjne błota w suche łąki, powtóre zaś słonki sprawiły nam tak miłą i rzadką niespodziankę swym jesiennym ciągiem, że najwybredniejsi myśliwi doznawali niebywałej nigdy rozkoszy. Zacznijmy nasz szkic od wiosennego ich ciągu.

Od 25. marca do połowy kwietnia było ich dosyć u nas, a nawet powiedziałbym więcej, niż nieraz w jesieni, gdy te miłe dla nas ptaki inną na południe wybiorą drogę.

Z kuropatwami dziwne u nas w tym roku porobiły się rzeczy! Na wiosnę widywaliśmy dużo par a w porze łowów spotykaliśmy albo te same, ale bezpotomne pary, albo pojedyncze koguty, albo w końcu bardzo szczupłe, z 5 do 7 sztuk złożone stadka. W rzadkich tylko wypadkach wychowały się bujne, liczne stada.

Podobnie się miało i z zającami. W jesieni prawie młodych się nie spotyka! Cóż tego przyczyną? Nasuwa się słuszne podejrzenie, że bociany, których tu mamy setki, nie mając wskutek posuchy żab, ratowały się kuropatwami i zajączkami. Pękły więc u nas w tym roku wszelkie przesądy i bocianie tradycye. Wydaliśmy wojnę wyfrakowanym fałszywcom. Posypały się żałobne pióra i niejedne czerwone rozciągnęły się nogi.

Co mówić o przepiórkach! Nie ma ich! Te rzadkie ptaki zaliczymy wkrótce do muzealnych okazów.

Błota główne wyschły, pozostały tylko na nich mokre żyłki i te pokryły się setkami kszyków; dubeltów było mało. Sezon błotny należał do dobrych.

Wiatr zawył z północy, pierwszy mrozik zwarzył zieloność. I jak dom stroi się na przyjęcie miłego i rzadkiego gościa w co ma najdroższego, tak lasy nasze ubrały się w szaty ze złota i purpury na przyjęcie długodzióbych wędrowców. Pierwsze słonki strzelaliśmy już koło św. Michała a koło 10. października zaroiło się od nich w naszych lasach. Starzy ludzie nie pamiętają takiego ciągu. Nie było morga lasu, nie było klombu, by w nim nie siedziała długodzióba figlarka. I dzisiaj ostatniego października w dwóch godzinach, przy szalonym wietrze, sam jeden z ośmiu chłopakami ruszyłem 10 słonek, strzelałem do pięciu.

Zapiszmy rok ten złotemi zgłoskami w naszych kronikach, bo może się za naszego życia już nie powtórzyć.

W moich własnych jakoteż przezemnie dzierżawionych rewirach, przestrzeni około 3000 morgów, (w czem 400 morgów lasu), padło od 1. marca do 1. listopada 1900 w dwie strzelby:

Rogaczy	12 (na podjazd)
Kuropatw	72
Przepiórek	51
Chruścieli	40
Słonek	72
Dubeltów	15
Kszyków	210
Kaczek dzikich . . .	9
Ptactwa wodnego . .	14

Razem 495 sztuk

W seryi polowań jesiennych zawadziłem i o Olimp. Byłem w Lisowicach. I tradycyjna gościnność lisowieckiej kniei dla pierwszy raz w niej polującego gościa potwierdziła się znowu. Szczęście mi służyło stale i przyznać potrzeba, że od zwierzyny grubej i drobnej się tam roi.

Dziś już mgła wisi nad ziemią „jak strzecha nad ubogą Litwina chatką“. Przyroda pójdzie wkrótce spać w łoże z mchów i miękkich liści. Ukołyszą ją do snu północne wiatry i szum skrzydeł na południe lecącego ptactwa, nakryje ciepła kołdra śniegu, zasłonią ciężkie portyery okiści. Łowiec, jako pan i król przyrody, wtargnie do tej wspaniałej sypialni i przy muzyce rogów i strzałów użyje pełną piersią rozkoszy znanej tylko bogom i myśliwym.

Albert Mniszek, delegat mościski.

Tołszczów, 2. listopada 1900.

Uzupełniając korespondencyę p. Kesselringa z Suchodołu, pozwalam sobie i ja, jako sąsiad, wprawdzie ośm kilometrów oddalenia od niego zamieszkały, przytoczyć kilka faktów, jakie w mojej najbliższej okolicy się zdarzyły z lisami, a które świadczą o coraz to większych ilościach wściekłych lisów.

W drugiej połowie września, w porze już chłodniejszej, zaatakował w dzień lis w lasach przezemnie administrowanych, włościanina idącego drogą, przypłacił jednak tę śmiałość śmiercią, chłop bowiem ubił go grabiami. W tydzień później, w miejscowości od poprzedniej 8 kilometrów oddalonej, wpadł lis do wsi i na podwórzu rzucił się na znajdującego się tamże chłopa, został jednak tak niegrzecznie przywitany drągiem, że podwórza już nie opuścił, a chłop radował się skórką. Po niejakim czasie napadł lis w nocy polowego dworskiego, siedzącego na zasiadce na dziki pod lasem. Napadnięty, przerażony nie strzelał, nawet strzelić nie mógł, nie miał czasu, bronił się strzelbą, a gdy mu kolba odleciała, lufami lisa ubił — wyszedł z tej afery cały, żałował jedynie przez lisa potarganego, nowego płaszcza.

Dnia 3. października w Kuhajowie, miejscowości od poprzednich kilka kilometrów oddalonej, rzucił się lis w dzień, we wsi, na pastwisku, na cielę, — na ryk cielęcia nadbiegli chłopi i lisa widłami uśmiercili.

Ostatni wypadek zaszedł 11. października w pobliżu mojego mieszkania. Lis w dzień wpadł do wsi, zaczął się żreć z psem, nadbiegły właściciel psa ubił lisa drążkiem, — lisa tego posłałem do ck. Akademii weterynaryi, gdzie szczepienie dyagnostyczne wykazało niewątpliwą wściekliznę, jak to załączony list rektoratu Akademii weterynaryi poświadcza*) — lis ten wcale nie był chudy, owszem dobrze utrzymany.

Mamy zatem stanowczo stwierdzoną wściekliznę lisów w okolicy, dotychczas bowiem tylko podejrzywaliśmy ją, lisów nam nie żal, chodzi jedynie o to, aby nie było wypadków pokąsania ludzi lub zwierząt domowych.

Dotychczas znanych mi jest takich nadzwyczajnych wypadków z lisami około 17, razem z wypadkami podanymi przez p. Kesselringa, nie jest to więc sporadyczna, ale widocznie w tutejszej okolicy rozszerzona wścieklizna.

Ciąg słonek ubiegłej jesieni niezwykle obfity, rozpoczął się 18-go września; najwięcej było słonek między 6-tym a 20-tym października, widywałem jednak jeszcze pojedyncze 31-go października. Wieczorem na ciągu można było widzieć 16—18 sztuk, a strzelić do 6—8 sztuk, z nagonką polując w 3 strzelby z 8—10 chłopakami, można było widzieć w 5 godzinach 30—40 słonek. Dnia 14-go października, ubiliśmy w 3 strzelby w 4 godzinach 16 sztuk.

Stan zajęcy mimo, że się od lat dwudziestu nie poluje, słaby, w ogóle tutejsza okolica nie cieszy się znaczniejszą ilością tej zwierzyny; obfitość lasów, ostry klimat, różnorodne choroby, a po części i lisy, nie dają się tej zwierzynie rozmnożyć, mimo troskliwości w żywieniu i ochrony. Sarn jest dosyć, lecz i tych mogłoby być więcej, gdyby nie choroby różnorodne i lisy, a po części i kłusownicy.

Najbardziej je jednakże przerzedzają choroby, rok rocznie znajduje się 20—30 padłych sztuk mimo silnego żywienia, licznych lizawek i t. p. środków hodowli.

Przy tej sposobności pozwolę sobie zwrócić uwagę pp. kolegów myśliwych, by przestrzegali gminy, a po części i obszary dworskie, aby nie obierały na grzebowisko ścierwa miejsc, położonych w lesie lub pod lasem, gdyby jednak koniecznym był wybór takiej miejscowości na grzebowisko, to oprócz okopania, grzebowisko należy wysokim, szczelnym płotem ogrodzić, by zwierzyna nie mogła w takie miejsca się dostać i na nich żerować. Szczególniej zaraźliwą chorobą jest wąglik, drobnoustroje tej choroby żyją długo w ziemi, zwłaszcza w miejscu, gdzie padłe bydle zakopano. Zwierzyna a szczególniej sarny, żerując na takich miejscach, nodrzami mogą wciągnąć takie drobnoustroje, te powodują zarażenie i niewątpliwą śmierć zwierzyny.

Stanisław Kowalski.

Byszów, d. 4. listopada 1900.

Już rok przeszedł długi, jak podałem do *„Łowca“* sprawozdanie ze stosunków łowieckich naszego zakątka w Sokalskiem. Jeżeli milczałem tak długo, to nie z lenistwa, lecz żywiłem nadzieję, że przecież coś lepszego w przyszłości o tych stosunkach Wam donieść będę w stanie; nadzieja jednak zawiodła fatalnie, nietylko u nas wszystko po dawnemu, ale stokroć gorzej.

W Peresepskim lesie poluje nauczyciel z Byszowa, jak polował, a wynik tego, że ja, strzelając w lecie kulami do dwóch tylko rogaczy w swoim lesie, podniosłem ich aż pięć; trzy znaleziono w stanie zupełnego rozkładu, były strzelane siekańcami, czy też czemś podobnem, na co nazwy znaleść nie umiem. Władze nasze patrzą na bezprawne noszenie i używanie broni przez palce, czego dowodem zabicie gajowego w Tartakowie przez kłusowników; czyż już czasy te nadeszły, gdzie w Galicyi mają zapanować stosunki czeskie, czy węgierskie? a strażnik polowania spotkawszy się z kłusownikiem, lub na odwrót, uważać ma za jedyny argument kulę? Daj Boże, by tak nie było, a zależy to li od energii i dobrej woli tak władzy politycznej, jak i sądowej, które w danym wypadku postępując bezpartyjnie, ale i bez uprzedzenia do właściciela polowania, mogą zrobić dużo dobrego, lub stworzyć stosunki afrykańskie. Mógłby ktoś mi zarzucić

---

*) „Dnia 13 października b. r. przysłał p. Stanisław Kowalski lisa, podejrzanego o wściekliznę, z prośbą o zbadanie. Przeprowadzone w tym celu szczepienie dyagostyczne wykazały wściekliznę“. (Podpisano: Prof. Dr. Szpilman).

pessymizm, że widzę wszystko za czarno, więc dobrze, posłuchajcie, a osądzicie sami, do czego prowadzi pobłażanie nie w porę, za czem idzie zawsze, jako wynik konieczny, bezczelne bezprawie.

Dnia 29. października b. r., jechał kolonista Andrzej Koczan gościńcem, koło moich ozimin, gdzie pasły się sarny; mimo obecności dworskich parobków, którzy orali obok oziminy, i mimo jasnego dnia, strzelił Koczan z fury do stadka sarn i zabił kozę, którą szybko naładowawszy na wóz, umknął. Pogoń zarządzona, nie dogoniła kłusownika, dowiedziałem się jednak, że kłusownik jest kasyerem „Kółka rolniczego“ w Sokalu; zaskarżyłem go najpierw do c. k. Starostwa w celu ukarania za bezprawne noszenie broni, bezprawne polowanie na cudzym gruncie i za zabicie kozy, która podlega ochronie przez rok cały; oprócz tego zaskarżyłem osobiście Koczana do c. k. Sądu powiatowego w Sokalu o zbrodnię kradzieży; nawiasem muszę tutaj wspomnieć, że Koczan jest ekszandarmem. W swoim czasie pozwolę sobie Wam donieść, jaką władze sokalskie wymierzyły sprawiedliwość, za taką bezczelność kłusownika, który kiedyś, jako c. k. żandarm, sam był powołanym do przestrzegania ustaw.

Juliusz Tarnowski.

Dyament pow. Dąbrowski, d. 5. października 1900.

Okolica nasza przy ujściu Dunajca do Wisły, prawie zupełnie bezleśna, równina bez żadnych pagórków, z licznemi kępami nad temi rzekami, obfitowała przed paru laty w mnóstwo zajęcy i kuropatwy.

Od czterech lat jednak ilość zwierzyny raptownie się zmniejsza, a w tym roku jest jej tak mało, że ze strzelbą w pole, czy do kępy wyjść nie warto. Jaka jest tego przyczyna, trudno na pewno orzec, bo kłusowników prawie nie ma, polowania odbywały się prawidłowo, bo tylko raz do roku w każdym rewirze; psy, koty, wrony, sroki i jastrzębie strzela się przy każdej sposobności, lisy wytępione w całej okolicy do nogi.

Z roku zeszłego zajęcy do rozmnoży została ilość dostateczna, a kuropatw bardzo znaczna, pora wylęgu była tak sprzyjająca, że lepszej życzyć sobie nie można, a pomimo tego zajęcy ani kuropatw nie ma.

W majątku Dyament, właściciel tegoż hoduje od wielu lat, pomimo niekorzystnych stosunków sąsiedzkich i terenowych, bażanty. Piszący naliczył sam w b. r. na wiosnę 47 kur bażancich, wracających z pól do parku, w którym pożywienie dostają i nocują. Pomimo różowych nadziei na ilość bażantów w jesieni, nikt ani jednego młodego bażanta w tym roku nie widział, nawet starych nie ma tej ilości jaką się na wiosnę widziało. Jakaż tego przyczyna? Najprawdopodobniej winne są temu bociany, które w całej okolicy nadmiernie się rozgnieździły. Ptaki te tyle razy w *„Łowcu“* opisane jako wielkie szkodniki, przylatują do nas z końcem marca i z braku jezior, w którychby polowały na żaby, chodzą całymi dniami, tygodniami i miesiącami po polach za żerem, przeszukują wszystkie łany jak najdokładniej po wielekroć razy, nic ich sokolemu wzrokowi nie ujdzie, padają ofiarą ich żarłoczności gniazda bażantów, kuropatw, przepiórek, chruścieli, dzikich kaczek, młode zajączki i wszystkie ptaki polne na ziemi się gnieżdżące. Zająca młodego, choćby już kilkutygodniowego, zabija on jednym zamachem potężnego dzióba, kawałkuje i pożera.

A cóż dopiero dzieje się w maju i czerwcu, gdy rabuś ten żywić musi nietylko siebie, ale i kilkoro swoich młodych, wtenczas zwierzyna ginie tysiącami niesiona w obszernym jego wolu na gniazdo, utwierdzone przyjaźną dla niego ręką człowieka na stodole lub drzewie w pobliżu dworu, aby się bawić jego klekotem i staczaniem walk w powietrzu z drugimi bocianami.

Szkodnika tego jeżeli nie wytępić, to przynajmniej znacznie przerzedzićby wypadało, inaczej stan zwierzyny drobniejszej nigdy się nie podniesie.

Drugą przyczyną zmniejszania się u nas stanu zwierzyny jest pozwolenie zbierania traw w kępach. Wieśniak nasz, a szczególnie jego dzieci, nie pozostawią nigdy znalezionego gniazda w spokoju, zabierają lub psują złośliwie znalezione jaja, a młode zajączki zabierają do domu, sadzają do beczki w celu chowania, gdzie biedne stworzenia giną zwykle z głodu, braku ruchu, a najczęściej kończą życie w pazurach kota.

Wreszcie coroczny prawie zalew kęp przy wezbraniu rzek w czerwcu lub lipcu niszczy wszystką zwierzynę, która chętnie w kępach lęgnąć się lubi, kryjąc się przed szkodnikami polnymi.

Te są mojem zdaniem najgłówniejsze przyczyny znikania u nas zwierzyny łownej. Przeciw zalewowi nie ma rady, ale tępmy pilnie szkodników polnych, to zwierzyna nie będzie się kryć z gniazdami i lęgiem po kępach.

Fr. Kisielewski.

Dnia 26-go października polowaliśmy w Okocimie we trzy strzelby. Polowaliśmy przeważnie na bażanty a do sarn i zajęcy, strzelaliśmy dopiero wieczorem w kilku polnych rewirach. Pomimo niesprzyjającej pogody rezultat był pomyślny, bo na rozkładzie leżało: 3 lisy, rogacz, 50 bażantów, 3 słonki, 5 kuropatw, 3 kaczki i 43 zajęcy. Bażantów mało padło stosunkowo do wielkiej ilości, którą widzieliśmy, a to z powodu, że większa część uszła bez strzału, powracając na nagonkę lub wylatując bokiem, jakby doświadczeniem nauczone z poprzednich polowań.

Gdyśmy polowali nadeszła wiadomość z pobliskiego lasu, że są tam dziki — zostawiliśmy je jednak w spokoju z powodu zbliżającego się zmroku.

Wielkie nam usługi na polowaniu oddawała młoda legawa suka hr. Artura S. i imponowała nam swoją wyborną tresurą, pomimo, że dopiero kilka miesięcy jest układaną. Zwierzyny nie tylko nie płoszyła, zachowując się najobojętniej na przebiegające obok szaraki, ale na rozkaz goniła postrzelone i z dalszego oddalenia znosiła, również dobrze aportując i z wody wyszukując przepadłą zwierzynę.

Wieczorem przy świetle elektrycznem, oglądaliśmy rozkład gustownie w półkole ułożony, a leśniczy p. Ring otrąbił ubitą zwierzynę przy pomocy dziesięciu leśnych, jakby wśród dobrej orkiestry, przez siebie wyuczonej, w melodyjnych myśliwskich aryach, a odmiennych dla każdej zwierzyny.

Knieja okocimska odznacza się niezwykłą ilością i różnorodnością zwierzyny, przy tem wielką przyjemność miałby tu i niemyśliwy, gdyby się znalazł wśród pięknej okolicy i widoków, które przedstawiają się widzowi prawie z każdego stanowiska z odmiennym urokiem, trudno też nie nadmienić, że przy samym wjeździe w posiadłości właściciela Okocima, spotrzega się wszystko praktycznie

zastosowane, to co w ostatnich czasach dały nam wynalazki, postęp i cywilizacya.

Nie wysławszy jeszcze powyższego sprawozdania do Szanownej Redakcyi, dowiaduję się, że w Okocimie odbyło się w zeszłą sobotę bardzo niezwykłe polowanie, bo we trzy rewolwery i sztylety. Szczęściem były same pudla — a „niewprawni myśliwi“ dostali się do bezpłatnego pomieszkania, z którego prawdopodobnie tak prędko na polowanie ich nie wypuszczą. *J. C.*

Wola 11 listopada 1900.

Fatalna aura, bo zimno i wiatr z deszczem trzyma człowieka w pokoju, a tu przynoszą depeszę, prosząca na 6-go listopada na polowanie. Humor się poprawia, bo Odnów w powiecie żółkiewskim, znany mi i odwiedzany od 25-ciu lat, ma pod każdym względem dużo powabu dla wszystkich, którzy tam polują. Idę do barometru, proszę go, trzęsę, zaklinam, niech choć trochę drgnie ku odmianie, ale nadaremnie. Wyjeżdżam jest pluta — ta sama, jak tu, tak i we Lwowie. Nareszcie dojeżdżam do upragnionego celu i na ganku witam kochanego gospodarza Emila Obertyńskiego, lecz odrazu widzę, że mina kwaśna, bo i tu kolegi mego, barometr, niechętnie się podnosi. Ale o deszczu zapominamy w gościnnym dworze, wśród zebranej w przededniu polowania drużyny myśliwskiej, — bo to i kolacya udała się, i piwnice od roku zeszłego nie wyschły, no i jakoś kajenna wszystkim dopisała. Święty Hubercie! przecież ci to nic nie szkodzi, aby aura się zmieniła, deszczu rolnicy nie żądają, bo oziminy śliczne, a przecież i Tobie, nasz patronie, milej będzie, jeśli wszyscy pełną piersią chwalić cię będziemy. I z tą prośbą na ustach — zasypiam. Jak gorące były te modły, okazało się nazajutrz, bo barometer, choć wolno, podnosił się noc całą, z rana stał jak świeca na pogodzie. Pospiech więc w ubieraniu, w spożywaniu darów bożych i wyjazd do kniei. Tu nagonka gotowa czeka sygnału pod komendą dwóch ludzi na koniach. Gospodarz osobiście wszystkich rozstawia i trąbką daje hasło. Któż w stanie opisać uczucia, gdy lisy jak pomarańcza za pomarańczą toczą się przez gąszcze. Strzały padają urozmaicone nawoływaniem nagonki „*Tirex-haut*“ lub „*horu*“.

Każdy miot ładniejszy od drugiego, bo coraz więcej kit zdobi linię myśliwych, — lecz rezultat dla wszystkich sprawiedliwy, bo kochany gospodarz w miarę doli, lub niedoli stanowiska naznacza.

Polowanie skończone. Rozkład ułożony: 3 słonki, 24 lisów i 41 zajęcy, w półkolu wachlarza zdobi dziedziniec przed dworem. Dwanaście strzelb pracowało sześć godzin na ten rezultat tak świetny. *Meine Wenigkeit* otrzymała berło królewskie, przyczyniwszy się do rozkładu pół tuzinem lisów i pół tuzinem zajęcy. Przy obiedzie zasłużonym, gdzie rozmawialiśmy po hiszpańsku, francusku i węgiersku, dziękowaliśmy kochanemu gospodarzowi, całem sercem po polsku, za tę biesiadę łowiecką, prosząc o zachowanie nas w pamięci, da Bóg, na rok przyszły.

Władysław Wiktor, delegat sanocki.

Sprawozdania łowieckie.

Za przesłane nam w myśl naszej odezwy sprawozdania bardzo dziękujemy tym Szanownym Członkom Towarzystwa, którzy prośbie naszej zadość uczynić raczyli. Prosimy także bardzo o dalsze sprawozdania.

Redakcya.

Wielkie Księstwo Poznańskie, powiat Wyrzyski — miejscowość Witosław — właściciel p. Tertulian Koczorowski — polowano 29 i 30 października w strzelb 12 — zabito 780 zajęcy i 80 kuropatw.

Powiat *bohorodczański*, m. *Łysiec*, właściciel hr. Csaky — polowano d. 4 października w 2 strzelby. Bar. Jeszenszky ubił na rykowisku jelenia czternastaka. Oprócz tego zabito rogacza. Straż lasowa zabiła od 22 do 31 października 3 lisy i 22 słonki.

Powiat *brodzki*, m. *Pieniaki*, wł. hr. Dzieduszycki — polowano 16, 17 i 18 w 9 i 10 strzelb — zabito 5 rogaczy, 20 lisów, 68 słonek i 93 zajęcy.

Powiat *czortkowski*, m. *Romaszówka*, knieja 300 morgowa — polowano 2-go października w 7 strzelb — zabito 1 lisa, 31 zajęcy, 2 słonki i 1 puchacza. Strzałów 54.

Powiat *dąbrowski*, w miesiącu wrześniu i październiku polowano na kuropatwy w dobrach br. Jana Konopki, należących do klucza *breńskiego*. Polowano kilkanaście razy z psem, lub nagonką, w 2 do 4 strzelb i zabito w tym czasie *658 kuropatw*. Stan kuropatw w ogólności w powiecie dąbrowskim nadzwyczajny — lecz stan zajęcy wiele pozostawia do życzenia, gdyż daleko mniej widziano ich teraz podczas polowań, niż w latach ubiegłych.

Powiat *doliński*, m. *Zakla*, wł. br. Poppera — w dwie strzelby polowano d. 4, 10, 17 i 31 z. m. — zabito 4 dziki, 1 lisa, 1 słonkę, 2 zające, 1 jastrzębia.

Powiat *gorlicki*, m. *Wola łużańska*, wł. Dr. A. Kalisz — zabito w październiku 1 rogacza, 2 lisy, 6 zajęcy. W *Bieśniku*, wł. gminy, zabito 2 lisy, 3 zające, 1 jarząbka. Polowano z jamnikiem. Sprawozdawca nasz nadmienia, że w *Łużnej*, wł. hr. Skrzyńskiej, zwierzyna doznaje